

A 189

JÓZEF PIŁSUDSKI
WSPOMNIENIA
o
GABRIELU NARUTOWICZU

„I G N I S”

E₂

O
GABRIELU NARUTOWICZU



11 57.900

A 189

JÓZEF PIŁSUDSKI

W S P O M N I E N I A

O

GABRJELU NARUTOWICZU

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „IGNIS”
(E. WENDE i S-ka) SP. AKC. WARSZAWA 1923

H II 146
PL 3a 3

Odbito 30 egz. na papierze czerpanym

Pierwszy — dziesiąty tysiąc

Prawa przedruku, przeróbkę i tłumaczeń zastrzeżone

23648
I

Bz 108
23648 I

Druk. „Rola” J. Buriana, Mazowiecka 11.

A 189



30.000/

O Gabrjelu Narutowiczu słyshałem względnie bardzo dawno. Rodzina Narutowiczów pochodzi z tych samych stron, co moja — ze Żmudzi, i należy do tej samej ziemiańskiej szlacheckiej sfery, w której specjalnie w tym zakątku dawnej Polski wszyscy o wszystkich wzajemnie jeżeli nie wszystko, to zawsze coś niecoś wiedzą. Stąd nazwisko Narutowicza znane mi było od dzieciństwa. Później w czasie moich wędrówek po świecie nieraz obijało mi się o uszy jego imię, wspominane przez wielu moich przyjaciół, którzy dla tych czy innych powodów przemieszkowali lub zawadzali o Szwajcarję. Było to naturalne. Ś. p. Gabrjel Narutowicz stał się w tym kraju swego rodzaju znakomitością dzięki wybitnym pracom w dziedzinie budownictwa wodnego. A że w owych czasach, czasach ciężkiej niewoli,

każdy Polak, który zdobył uznanie wśród cudzoziemców, dawał wszystkim innym pewne prawo do dumy narodowej, nazwisko to przez nikogo ze spotykanych przezemnie Polaków inaczej jak z szacunkiem nie było wymawiane.

Przypominam sobie, że w tych czasach uderzył mnie jeden szczegół z życia Gabrjela Narutowicza. W jednej z rozmów któryś z moich znajomych wyraził się o nim, jako o dziwaku. Zapytany przezemnie, na czym polegać ma to dziwactwo, odpowiedział z charakterystycznym wzruszeniem ramion, że Narutowicz, jeszcze jako słuchacz politechniki, uczęszczał systematycznie na specjalne kursa wojskowe, istniejące przy politechnice zurychskiej dla przygotowywania oficerów armji szwajcarskiej.

Fakt ten był dla mnie nadzwyczaj zastanawiający. Było w owym czasie, gdy w dobie powstaniowej, młodzież ulegała łatwo różnym prądom, jakie się krzyżowały w polskich umysłach, lecz

wszystkie razem wykluczały absolutnie, jako rzecz zdrożną, rzecz śmieszną lub nonsensowną — jakkolwiek pracę w dziedzinie nauk wojskowych.

Dla mnie osobiście Narutowicz, uczeń kursów wojskowych, był niejako wyrzutem sumienia, sam bowiem głęboko w sercu zataiłem jakby grzech dzieciństwa — sentyment dla tradycji powstańczych polskich i gryzącą mnie ustawicznie zazdrość w stosunku do ubiegłych pokoleń, które miały tak piękne wiosny w swoim życiu. Zaledwie w najszczerzych rozmowach pozwalałem sobie dotykać zagadnień wojskowych; a tu człowiek, którego imię już powtarzano jako imię człowieka zasługi i wybitnej pracy, tak śmiało szedł po tej drodze, tak śmiało część swoich wysiłków poświęcał przedmiotowi powszechnie skazanemu w Polsce na zapomnienie, na odepchnięcie, na zatracenie.

Nie spotykałem się nigdy w tym czasie z G. Narutowiczem, lecz fakt ten wywołał w stosunku do niego jakąś bezwie-

dną sympatję, jakiś mimowolny pociąg. Nie spodziewałem się wtedy nigdy, że w dalszem życiu role nasze tak się dziwnie odwróca. Ogiś ja jemu zazdrościłem jego studjów wojskowych. Po kilkunastu latach on, jak chętnie nieraz zaznaczał, zazdrościł mi mojej pracy wojskowej.

Zanim drogi życiowe nasze zetknęły nas w Warszawie, spotykałem się z temi lub innemi wzmiankami o G. Narutowiczu jeszcze z innej strony — ze strony rodzinnych stosunków, gdyż wesliśmy z sobą na drogę powinowactwa: rodzony brat ś. p. Narutowicza ożenił się z bliską moją kuzynką, Billewiczówną.

Osobiście poznałem G. Narutowicza, gdy już w czasie istnienia wolnej Polski wrócił z emigracji i został mi przedstawiony, jako kandydat na ministra robót publicznych w gabinecie p. Skulskiego.

Przy pierwszym zetknięciu się uderzyły mnie tylko jego wesołe, jakby rozradowane oczy, któremi oglądał zarówno mnie, jak i całe belwederskie oto-

czenie. Stosunki nasze były zrazu bardzo luźne. Ograniczały się do kilku nie znaczących rozmów, do wymiany jakichś urywkowych zdań. Pochodziło to stąd, że dla resortu, który objął p. Narutowicz, nie miałem nigdy ani wybitnego zainteresowania, ani wielkiego zaufania.

W początkach Rzeczypospolitej miano w tej właśnie dziedzinie—robót publicznych i odbudowy kraju—wielkie iluzje i wielkie nadzieje. Szukano w tej pracy naprawy wielu bied i wielu nieszczęść Polski. Robiono olbrzymie plany i wielkie projekty, miano powetować w krótkim przeciągu czasu tyle blizn, zadanych przez wojnę, tyle rozmyślnych opuszczeń, zrobionych przez rządy zaborcze. Miano zrobić nadzwyczajny wysiłek, by dogonić świat pod tym względem. I jak gdyby dla większej ironji w stosunku do naszej bezsilności i może nieudolności, zostawiono tyle śladów robót rozpoczętych, nieskończonych, wyglądających tak śmiesznie, jak znakomity kanał obwodowy Warszawy, koło

którego jeszcze i dziś nikt bez uśmiechu przejeżdżać nie może. W licznych podróżach moich po kraju konstatowałem wszędzie istnienie biur, zarządów i różnych instytucyj, związanych z robotami publicznymi, na które słuchać musiałem żałosnych skarg, że są one chyba stworzone dla przeszkadzania w pracy odbudowy, nie dla jej prowadzenia. Zajęty wojną lub jej likwidacją, nie miałem ani chęci, ani możliwości wtrącać się do szczegółów tej pracy, najwidoczniej według mnie nieudanej. Z tego też powodu nie szukałem nigdy ani rozmów, ani zbliżenia się do Narutowicza, jako do ministra robót publicznych.

Dochodziły mnie wtedy słuchy, że jest namiętnym sportowcem. Człowiek bardzo już nie młody, człowiek nauki, rozkochany w koniach i w polowaniu, jeżdżący codzień pomimo wieku konno, robiący długie wycieczki piesze, wesoły towarzysz myśliwski, przypominał mi wciąż temi cechami swego charakteru owego Naruto-

wicza, który, będąc młodzieńcem, szukał śmiało wyrazu dla swojej z domu wyniesionej, powstańczej tradycji.

I nagle zaszedł znowu fakt, który mi G. Narutowicza w nowem postawił świetle. Było to za czasów gabinetu p. Ponikowskiego, gdy praca całego rządu ześrodkowała się całkowicie w silnych wewnętrznych tarciach w łonie rządu z powodu walki wszystkich resortowych ministrów, z jednym ze swoich kolegów, z p. ministrem Michalskim. P. minister Michalski uzyskawszy od Sejmu pozwolenie na coś w rodzaju dyktatury finansowej, począł ją wprowadzać w nadzwyczaj oryginalny sposób. Dobrał on sobie mianowicie kilkunastu panów, czy mężów zaufania, których formalnie postawił ponad swoich kolegów ministrów, i ci wykorzystując swoje przywileje, zaczęli brutalnie sekować kolegów p. Michalskiego. Sprawa ta ciągle obijała się o moje uszy, jako Naczelnika Państwa, z całym mnóstwem anegdot niezwykle dla ministrów upakarzających. Mężowie zau-

fania p. Michalskiego byli to często młodzi panowie, tacy sobie nadministrowie, którzy mieli prawie bezapelacyjnie decydować o każdym wydatku, zrobionym z rozporządzenia ministra. Naturalnie byli ministrowie bardziej uprzywilejowani w oczach p. Michalskiego lub jego pomocników, byli mniej uprzywilejowani, jakby rozmyślnie sekowani, byli tacy, którzy znaleźli sobie drogę do prześlągania nie tyle p. Michalskiego, ile mądrego jego męża zaufania, byli wreszcie tacy, którzy się kłócili zarówno z tymi rzeczoznawcami, jak i z p. Michalskim, którego ekonomiczna ręka miała jakoby uratować Polskę od niechybnej klęski bankructwa.

Rada ministrów trzy ćwierci swego czasu poświęcała w owe czasy udanym lub nieudanym próbom łagodzenia tarć, które ciągle groziły rozwaleniem się rządu z powodu podawania się do dymisji to jednego, to drugiego z pośród ministrów. Sprawy bowiem państwowe nabierały cech przypadkowości, uzależnionych od chwilowych nastro-

jów nietylko samego już dyktatora finansowego, lecz i jego subdyktorów.

I wtedy nagle dowiedziałem się o jednej poważnej batalji, wygranej prawie całkowicie przez tak nieznaczący resort, jak roboty publiczne. Dowiedziałem się wtedy, że p. Narutowicz postawił spokojnie sprawę tak, jak należało ją stawiać. Zaproponował on zniesienie Ministerstwa robót publicznych, jako niepotrzebnego, z chwilą, gdy fundusze, które ma w swojej dyspozycji, ledwie wystarczają na utrzymanie urzędników, bez dania jakiegokolwiek ekwiwalentu państwu w postaci pracy, związanej z celem i przeznaczeniem swego ministerjum. Batalja została wygrana, gdyż 9 miliardów, (o ile sobie przypominam chodziło o podobną sumę,) zostało przyznane ze względów personalnych dla zatrzymania istnienia ministra i jego urzędników. Obiło się to o moje uszy w bardziej szczegółowych sprawozdaniach z tego powodu, że ustępstwo p. Michalskiego w każdej dziedzinie zwykle powodowało tendencje

zmniejszenia budżetu wojskowego, którym musiałem się zajmować.

Pomimo tej wygranej batalji która mi wskazywała, że wpływ osobisty G. Narutowicza jest względnie duży, byłem niezmiernie zdziwiony, gdy usłyszałem, że p. Skirmunt, ówczesny minister spraw zagranicznych, wyjeżdżając na znaną konferencję w Genui, chciał mieć jako wiceprzewodniczącego delegacji polskiej właśnie G. Narutowicza. Pomimo, że interesa ekonomiczne i finansowe odegrać miały na tej konferencji wybitną i wielką rolę, pomimo, że w rządzie i w społeczeństwie żywiono jakieś nadzieje na dochody, mające wpłynąć z ruchu tranzytowego, opartego na polskich środkach komunikacyjnych, które nie były w stanie podolać nawet naszym potrzebom wewnętrznym; pomimo wreszcie, że przed konferencją zbierano obfite materiały w różnych komisjach, w których brał udział również i G. Narutowicz — wyznaję szczerze, że wybór rządu zaskoczył mnie jak niespodzianka.

Nie mogłem zupełnie zrozumieć motywów tego postanowienia. Tak dalekim dotąd był zawsze p. Narutowicz od wszystkich burz w szklance wody, które szalały i szaleją u nas przy każdym dotknięciu kwestyj międzynarodowych; tak dalekim wydawał mi się on od tego licznego u nas grona zawodowych autorytetów w tej dziedzinie, która należała zawsze do najdrażliwszych i do najbardziej delikatnych spraw dla każdego z rządów Rzeczypospolitej.

Wybór G. Narutowicza wydawał mi się tem dziwniejszy, że sytuacja Polski podczas konferencji genueńskiej należała może do najtrudniejszych z czasów powojennych. Enuncjacje ówczesnego premiera Anglii wyraźnie i niedwuznacznie skierowane były przeciw Polsce, jasno wskazując, czym kosztem należy zadowolić naszych sąsiadów. Natomiast trudno było się spodziewać należytej obrony ze strony innych państw, gdy w grę wchodziły tak poważne interesy jak kwestja odszkodowań ze strony Niemiec i podniecone nie-

zwykle nadzieje na możliwość zyskania rynków rosyjskich, przyczem konkurencja mocarstw mogła dojść do wysokiego napięcia, obniżając przez to szanse obrony interesów Polski.

Dlatego to w owe czasy radziłem bardziej skoncentrować się w obronie, nie mieszając do konferencji sprawy uznania naszych granic wschodnich, uzyskanych przez zwycięską wojnę. Niestety w Ministerstwie Spraw Zagranicznych byli innego zdania i sądzili, że należy i tę sprawę postawić na porządku dziennym. Wysłunięcie tej kwestji uczyniło i tak już trudną sytuację Polski na konferencji jeszcze trudniejszą. Dało to w rezultacie, jak zwykle u nas w chwilach ciężkich, bardzo podnieconą atmosferę z masą sprzecznych plotek, domysłów, inwektyw, oskarżeń, reminiscencyj wszelkiego rodzaju, przechodzenia od wysokich nadziei do nagłego strachu, co z konieczności odbijać się ciągle musiało na nerwach rządu, a przez to i na nerwach naszej delegacji w Genui.

Tembardziej, że w Genui grano nieraz groźbami nowych wojen, nowych niepokojów, tymi straszakami nie tylko naszego życia państwowego.

Byłem więc, powtarzam, zdziwiony, dlaczego obarczono tak trudnemi zadaniami człowieka, który mi się wydawał nieprzygotowanym do prac konferencyjnych i który nie mógł mieć siły utrzymania autorytetu rządowego przy tak podnieconej atmosferze wewnątrz kraju.

Konferencja po wielu perypetjach zakończyła się względnie szczęśliwie. Uznanie granic, zgodnie z moimi przewidywaniami, nie osiągnęliśmy wcale, lecz to, co uważałem za naszą wygraną, osiągnęliśmy w zupełności, wyszliśmy z konferencji obronną ręką.

Po powrocie z Genui, zebrali się u mnie w Belwederze główni nasi delegaci na konferencję dla złożenia mi sprawozdania. Wtedy po raz pierwszy miałem sposobność poznać bliżej G. Narutowicza. Byłem zdziwiony, gdy usłyszał

po raz pierwszy może, spokojną, rzeczową ocenę nie tylko szczegółów Konferencji, lecz i stosunków międzynarodowych. Widać było w każdym niemal słowie, że p. Narutowicz mówi o świecie zagranicznym jak człowiek, który świat ten zna, z tym światem się zżył i obraca się w nim ze znacznie większą swobodą, niż w świecie polskim. Długoletni pobyt w Szwajcarii, stałe obcowanie z mnóstwem ludzi, zatrzymujących się na krótko lub na długo w tym zajezdnym domu Europy, w Szwajcarii — dawały mu ten spokój w ocenie ludzi i zjawisk dobrze mu znanych, jaki rzadko spotyka się w Polsce. Nie było w tem, co mówił, nigdy ani dziecinnych, tak często u nas spotykanych, iluzji, ani też akcentów niechęci i rozdrażnienia w stosunku do zjawisk wynikających z naturalnych tendencji tego lub innego państwa.

Był on, jak to miałem sposobność zauważyć, człowiekiem, którego bym nazwał europejczykiem w sposobie ujmowa-

nia państwa i jego zadań i oceny pracy indywidualnej ludzi sprawujących funkcje państwowe. Czuć w nim było jakby bolesny skurcz przy każdym oskarżeniu, które mu się wydawało niesłuszne, przy każdym przypuszczeniu, które uważał za niedostatecznie uzasadnione. Prosił wtedy natychmiast o głos i prostował. Gdy zauważył po skończonej konferencji u mnie, że z postępowania delegacji w pewnych kwestiach jak uznanie granic, pozostałem niezadowolony, prosił o specjalną audjencję, aby dodatkowymi wyjaśnieniami rozwiązać moje wątpliwości i stanąć w obronie p. Skirmunta. Nie chciał przypuszczać, by postępowanie p. Skirmunta naraziło na szwank nasze interesy. Stwierdził mi, że najzupełniej nie mogło być mowy o uzyskaniu uprawnienia granic, lecz że stosunki przy końcu Konferencji ułożyły się dla nas o tyle pomyślniej, że żaden zręczny czy niezręczny początkowy krok z naszej strony, nie odgrywałby najmniejszej roli, gdyż wszystkie kwestje utonęły w ogólnem wrażeniu nie-

udatnej pod względem zamiarów i celów Konferencji.

Podczas tych paru wizyt G. Narutowicza u mnie miałem sposobność poruszać z nim i różne kwestje z dziedziny naszego życia wewnętrznego. P. Narutowicz bowiem skorzystał z tych okazji, aby poza służbowemi sprawami nieco więcej mówić o sobie i o swoim życiu, korzystając z łączącego nas powinowactwa.

Czuł się w Polsce dobrze—więcej—był szczęśliwy i dziwił się tylko, że ludzie, z którymi się spotyka, są ciągle czegoś skwaszeni i z czegoś niezadowoleni. Mówił mi, że od czasu swego przyjazdu do Polski nie może dotąd nastroić siebie na ten sam ton, co Polacy, i dlatego wciąż mu się wydaje, że jest emigrantem. Tęsknił do Polski tak długo, już się był nawet przyzwyczaił do myśli, że do Polski może nie wróci, szukał zużytkowania swoich sił i swojej energii w pracy dla obcych, i gdy Polska otrzymała życie swobodne i niepodległe, myślał, że osza-

leje z radości. Likwidował naprędce wszystkie interesy, naprędce zrywał wszystkie nici, któremi był związany z obcym krajem i obcą służbą, przyjechał jak odmłodzony ze świeżą energją, chcąc, jak mówił nieco sentymentalnie, odsłużyć Polsce, chociażby na najniższem stanowisku, stracone dla niej i zmarnowane dla niej poprzednie swe lata.

Wbrew swoim oczekiwaniom objął najwyższe stanowiska w Polsce i był stanowczo szczęśliwym człowiekiem. Męczyło go jednak pytanie, dlaczego inni tego szczęścia nie czują. Śmiał się, opowiadając mi, że przypominał sobie swoje młode lata, chadząc na polowania po lasach i błotach i spotykając się z ludźmi prawie takimi samymi, jakich znał w dzieciństwie i młodości. Nie ma dotąd, jak mi mówił, żadnych nieprzyjaciół, ze wszystkimi żyje dobrze i sądzi, że u nas tylko istnieje jakaś dziwna nieumiejętność do współżycia pomiędzy sobą, a zdolność do kłócenia się bez żadnej przyczyny, któraby była

dostatecznie zrozumiałą dla niego. Szczerze się śmiałem z niego, twierdząc, że nie przeżył z nami czasów niewoli i że przenosi tak łatwo stosunki, do których się przyzwyczaił w najspokojniejszym kraju europejskim, w Szwajcarji, na nasze chore jeszcze od niewoli warunki życia. Śmiałem się mówiąc mu, że może on ze swoją europejską metodą układania stosunków przejdzie i dalej swe życie bez zadrąśnień i nieprzyjaciół, lecz że wówczas bodaj będzie w Polsce wyjątkiem.

We wszystkich sądach G. Narutowicza o innych spostrzegałem niezwykłą w naszych stosunkach względność dla ludzi i nawet usprawiedliwienie wszystkich braków, a nawet wad. Przy pierwszym słowie krytyki jakiegokolwiek działalności, natychmiast usprawiedliwiał pracowników różnemi względami i stale tłumaczył, że ten krótki czas, jakiśmy mieli do urządzenia się w Polsce, nie pozwala zbyt ostro i krytycznie oceniać dotychczasowych prac. Stałem się zanalizować głębiej tę charakte-

rystyczną dla G. Narutowicza względność dla ludzi i dla ich pracy. Wyznał mi on wreszcie otwarcie, że podczas swego życia zagranicą przeszedł przez tyle upokorzeń z powodu krytyk i lekceważących ocen naszej narodowości, że się poprostu wdrożył do natychmiastowej obrony przed modą poniewierania wszystkiego, co polskie. Ten rys charakteru wyrobił się u niego, jak twierdził, być może i z tego powodu, że czuł się zawsze trochę winnym wobec Polski. Przez tyle lat swego życia nic jej nie dał prócz skromnych nieraz ofiar dla celów związanych z życiem polskim. „Czuje niekiedy — mówił mi — tak, jak gdybym nie miał prawa moralnego robić zarzutów, gdy tak długo do niczego w Polsce ręki nie przykładam“.

Nie mógł znieść łatwo nieprodukcyjności naszej pracy. Przyzwyczajony do innych, większych niż u nas wymagań, nie łatwo dawał sobie radę z naszym przyzwyczajeniem do nieproduktywnego gadulstwa o pracy bez pracy samej. Trudne

też było dla niego słuchanie nierzeczowych dyskusyj. Lecz i te najprzykrzejsze wady, z którymi się zetknął, usprawiedliwiał i tłumaczył brakiem obycia się Polaków z pracą państwową i koniecznem, zdaniem jego, w tych warunkach wnoszeniem do pracy przyzwyczajień z czasów niewoli, w której towarzyskie gawędy zastępowały realną pracę.

Podczas kryzysu gabinetu p. Ponikowskiego przyszedł sam do mnie, prosząc mnie, bym go użył jako pośrednika dla złagodzenia przesilenia. Sądził, że krytyka moja pracy tego gabinetu była zanadto bezwzględna i dotycząca tylko pewnych przejawów życia państwowego, zatem nie ujmująca całokształtu. Odpowiedziałem mu, że osobiście nie miałem zamiaru wywoływać kryzysu, więc wobec tego jego zarzuty nie są uzasadnione. Dotykałem tylko pewnych rzeczy, które w tym wypadku mnie obchodziły i nie dotykałem całokształtu. Nie chciał się jednak zgodzić z memi określeniami, tyczącymi się słabości rządu i nie-

produktywności pracy rządowej. A gdym mu przypomniał jego własne narzekania na ową nieproduktywność i brak decyzji, zaczynał, jak zawsze, bronić każdej instytucji polskiej przed krytyką i zarzutami.

W następnym gabinecie p. Śliwińskiego G. Narutowicz został mianowany ministrem Spraw Zagranicznych. Tekę tę zatrzymał również w gabinecie p. Nowaka. Teraz G. Narutowicz z urzędu wszedł w znacznie bliższy kontakt ze mną, niż to było poprzednio.

Przedewszystkiem zrobił to, co robił każdy minister Spraw Zagranicznych, mianowicie oświadczył, że musi stale współpracować ze mną, gdyż jego resort jest najściślej związany z temi obowiązkami reprezentowania państwa nazewnątrz. Oświadczenie to, powtarzam, składał mi każdy minister Spraw Zagranicznych. Jest w tem zdrowa konieczność uznana we wszystkich państwach, jakkolwiek-by one były sformowane. Oświadczyłem mu też,

jak wszystkim innym ministrom, że do tej współpracy jestem zawsze gotów.

W tem współdziałaniu ze swej strony wymagam tylko lojalności, t. zn. informowania mnie o wszystkim tak, abym w razie niezgody z takim czy innym wystąpieniem odpowiedzialnego ministra mógł równie lojalnie nie szkodzić jego pracy podczas swoich, koniecznych przy reprezentacji, stosunkach z przedstawicielami zagranicy. Zaznaczyłem przytem, że dotąd tej całkowitej lojalności w Polsce nie doznałem, i że nieraz w trudnej znajdowałem się sytuacji, gdy czułem, że w grze politycznej mogę być wygrywany przeciwko ministrowi, jeżeli nie mam dostatecznych danych o jego postępowaniu.

Dalej ostrzegłem go, że staje do roboty najtrudniejszej w Polsce, gdyż na żadną lojalność pewnych czynników politycznych w tej dziedzinie liczyć nie może. Że znajdzie działające poza swemi plecami inne „ministerstwa spraw zagranicznych“, które łatwo dają się zawsze wygry-

wać przeciwko oficjalnemu przedstawicielowi Państwa Polskiego.

Wreszcie zaznaczyłem, przypominając mu jego dawniejsze rozmowy, że jeżeli się tak chwalił poprzednio, że niema nieprzyjaciół, to z chwilą wstąpienia do gmachu na ul. Wierzbowej, wchodzi odrazu do gniazda os, które oszczędzać nie będą nietylko jego osoby, lecz również jego czci i honoru. G. Narutowicz oburzył się na mnie, jak zawsze, że wydaję tak bezwzględne sądy o stosunkach polskich. Ze śmiechem jeszcze, który mu prędko miał zamarzeć na ustach, twierdził, że może okaże się nieudolnym ministrem Spraw Zagranicznych, lecz pewny jest, że przez to nie utraci tych, jak mówił, przyjaznych stosunków, jakie ma we wszystkich stronictwach, co da mu możność spokojnie i rzeczowo rozmawiać o kwestjach polityki zagranicznej. Jeżeli nie był pewnym siebie w rozwiązywaniu zawiłych nieraz problemów naszej polityki międzynarodowej, to czuł się spokojny w stosun-



kach polskich i pewny co do możliwości załagodzenia zaciętych nieraz sporów wewnętrznych, które poprzednio obserwował. Jakby z wyrzutem w stosunku do mnie powtarzał to kilka razy: trzeba być tylko względniejszym dla ludzi, ludzie nie są tak źli.

Nie mogę wchodzić w szczegóły pracy G. Narutowicza, jako ministra Spraw Zagranicznych, dotyka to bowiem zbyt świeżej przeszłości naszych stosunków międzynarodowych, zbyt może dotyczyć ludzi, którzy w tej dziedzinie i dotąd odgrywają rolę, abym uważał za możliwe odsłaniać publiczne sprawy, do których miałem dostęp z racji swego urzędu. Idzie mi bardziej o metodę pracy G. Narutowicza w jego działalności.

Przedewszystkiem wniósł on swoją namietność do pracy. Nie było dla niego godzin urzędowych, nie było chwili wytchnienia. Dotychczasowe wywczasy myśliwskie, delekie przechadzki i inne mniejsze lub większe rozkosze życia, ustąpiły

wymogom urzędu. Pracował bardzo długo, szukając zawsze zgłębienia przedmiotu i wyrobienia sobie zdania na podstawie możliwie największej ilości danych. Nie uprzedzał się przytem zgóry do żadnej opinii, do żadnego zdania, tak, jak gdyby szukał najmniejszego ziarnka prawdy w każdej głowie ludzkiej, w każdej pracy człowieka. Zajmowało mu to, naturalnie, ogromną ilość czasu. Gdy przychodził do mnie, a następowało to zawsze co parę dni, każdą kwestję znał dokładnie i mógł mi wymienić szczegóły opinii takiego czy innego naszego przedstawiciela dyplomatycznego, takiego czy innego męża stanu zagranicy. Przytem, zawsze zachowywał należyłą rezerwę, nigdy nie twierdząc lekkomyślnie, jak to u nas często bywało, że wie z pewnością, co w różnych stolicach Europy myślą, lub też co rozmaici mężowie stanu chcą zrobić.

Rezerwa ta, tak zrozumiała i jasna dla każdego człowieka, znającego świat, wywołała z jego strony również usilne sta-

rania, by pozbawić Warszawę sławy najbardziej plotkarskiej stolicy europejskiej. Bał się ciągle, by którakolwiek z rozmów jego z przedstawicielami obcych państw nie była powtarzana, by którykolwiek z raportów naszych posłów nie stał się publiczną tajemnicą i nie skompromitował naszego przedstawiciela wobec rządu, przy którym reprezentował nasze państwo. Ta smutna sława naszej stolicy, o której nieraz mówił ze mną, ciążyła nad nim zawsze jak zmora. Twierdził, że z pomiędzy wielu zarzutów, które z ust moich usłyszał i którym miał stale ochotę oponować, jeden zarzut plotkarstwa uważał zawsze za słuszny i zawsze się obawiał, żeśmy sami wiele przyczynili się do braku szacunku dla siebie w świecie. Twierdził, że jednym z najcięższych i najprzykrzejszych zarzutów, które słyszał w stosunku do Polski, obcując z ludźmi Europy, jeszcze jako człowiek prywatny, była opinja, że żadnemu Polakowi w niczem wierzyć nie można, gdyż zawsze kłamie. Zarzut ten zrodził

się, jak sądził, nie z jakiegoś naszego organicznego wstrętu do prawdy, lecz z nadmiaru lekkomyślnego plotkarstwa, przy którym nikt w końcu prawdy od fałszu odróżnić nie jest w stanie. Mówił mi, że od chwili, gdy objął urządowanie, zawsze ma w pamięci moje opowiadanie o pewnym dyplomacie europejskim, który skarżył się przedemną na złośliwe przekręcanie jego rozmów w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, tak, że czuł się skompromitowanym wobec swego rządu, mogącego mieć do niego pretensje iż nie wypełnił otrzymanych instrukcyj. Twierdził przytem, że w takim kraju można być tylko tak brutalnym, aby tłum plotkarzy dobitnych i jaskrawych słów nie potrafił fałszywie zrozumieć. Prawie przy każdym widzeniu się ze mną, G. Narutowicz pytał mnie, czy nie mam do zanotowania jakiegokolwiek zarzutu niedyskrecji, i czy nie odczuwam naprawy pod tym względem.

Nie chciał się jednak zgodzić ze mną w zupełności, że tę smutną sławę za-

wdzięczamy w znacznym stopniu istnieniu poza rządem nieodpowiedzialnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które w ten właśnie sposób szuka zwycięstwa nie Polski, a swego, i temi też nieodpowiedzialnymi środkami ustalać chce w opinii krytyczny stosunek do każdego ministra Spraw Zagranicznych.

Doświadczenie, którego nabył przy pracy w ministerjum, robiło go bardziej skłonny do słuchania moich, jakoby bezwzględnych zarzutów. Specjalnie oburzał się na metodę obniżania niejako zgóry wartości każdego prawie naszego przedstawiciela, wyjeżdżającego by reprezentować Polskę, twierdząc słusznie, że każdy nasz poseł czy delegat, wioząc ze sobą tak duży bagaż plotek, wersji i insynuacyj krążących o nim we własnym kraju, a zbieranych skrzętnie przez opinię zagranicy, ma zgóry zmniejszony autorytet, powagę i kredyt w pracy nad interesami Polski.

W stosunku do podwładnych musiał G. Narutowicz być, jak przypuszczam, bar-

dzo względny. Przypuszczam to dlatego, że przy każdej rozmowie o którymkolwiek z urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych starał się przedstawiać mi jego zalety i jego wartości, tak jak gdyby unikał wytykania wad i przywarów człowieka. Nawet w tych wypadkach, gdy sam przyznawał pewne niedokładności w pracy, nie chciał wyciągać z tego konsekwencji. Poglądem jego było, że przy wielkich trudnościach, jakie miał prawie każdy Polak w pracy państwowej, lepiej jest cenić nabyte już doświadczenie, niż robić nowe próby z nowymi ludźmi. Boję się jednak, że ta charakterystyczna dla p. Narutowicza względność w stosunku do ludzi, była więcej skutkiem niechęci do robienia komukolwiek przykrości i konsekwencją nieco naiwnej wiary w dobrą wolę ludzi, niż ufnością w wartość owego doświadczenia, na którą się powoływał.

Twierdzę to na podstawie częstych skarg słyszanych od niego na brak znajomości u Polaków świata zagranicznego,

jego praw i prawidełek. Mówił zawsze, że wskutek tego każdy prawie Polak może być w świecie zagranicznym łatwo oszukany, łatwo w błąd wprowadzony i łatwo stać się może narzędziem w rękach innych, gdyż z trudem rozumie istotne motywy takiego czy innego postępowania. Ta, nadmierna może względność w stosunku do wszystkich ludzi, czyniła go nieco słabym administratorem. Jego koledzy w Radzie Ministrów nieraz mi się na to uskarżali, twierdząc, że G. Narutowicz nie zawsze daje sobie radę z podwładnymi, i że nie czuć w jego Ministerstwie ręki przełożonego.

Przedemną, jako przed Naczelnikiem Państwa, bronił nawet swoich wyraźnych przeciwników. I nigdy nie chciał mi wierzyć, gdy mu dawałem dowody, że w tem czy innem rozmyślnie podstawiają mu nogę. W ciągu jednak swej kilkumiesięcznej pracy, stawał się coraz bardziej ostrożny. Odosabniał się bardziej od ludzi, zamykając się w pracy z bezpośredniem swoim otoczeniem. Mówił mi, że stracił dużo

ze swych zdolności towarzyskich, że niekiedy musi unikać swoich starych znajomych, nawet przyjaznych mu ludzi, z powodu niedyskretnych pytań i nadmiaru ciekawości, pragnącej wdrzeć się do jego odpowiedzialnych prac.

W stosunku do mnie, jako do Naczelnika Państwa, pozostał do końca wyjątkowo lojalnym ministrem. Zgodnie z początkową umową, informował mnie dokładnie o wszystkich pracach w swoim zakresie i omawiał ze mną wszystkie ważniejsze swe wystąpienia. Wyznaję, że po raz pierwszy w mojem urzędowaniu czułem się swobodnie, gdym mógł bez obawy rozplotkowania powtórzyć mu każdorazową swą rozmowę z którymś z przedstawicieli państw zagranicznych i gdym mógł mu okazać zgodnie z poprzednią umową pomoc, w różnych okolicznościach wyzyskując te wpływy, jakie, jako człowiek, zdobyć sobie mogłem w świecie międzynarodowym. Mogłem być swobodnie umawiać się z G. Narutowiczem nawet co do metody takiej, czy innej

rozmowy, będąc pewnym, że będzie ona w zgodzie z jego zamierzeniami i nie wzбудzi nigdy u przedstawicieli świata dyplomatycznego podejrzenia, że dwa najgłówniejsze dla nich organy państwowe są z sobą w niezgodzie i nie działają spójście.

Z prawdziwą wdzięcznością wspominam najtrudniejszą w tej epoce pracę, która na mnie spadła, reprezentacji Polski w sąsiedniej Rumunji. Rola nieodpowiedzialnego przedstawiciela państwa jest w takich wypadkach bardzo ciężka i każdy brak taktu ze strony odpowiedzialnych przedstawicieli daje się boleśnie odczuć.

Z całego okresu urzędowania G. Narutowicza przypominam sobie kilka wypadków, gdyśmy się rozeszli w opinii i zdaniu co do sposobu postępowania. Są to wypadki najprzykrzejsze, które, jak wiadomo, nieraz pozostawiają głębokie i niezatarte ślady w duszy, wywołując wzajemną niechęć i rozdrażnienie. W jednym z tych wypadków, mianowicie w sprawie naszego postępowania w kwestji Kłajpedy, bałem

się nawet, że rozbieżność zdań doprowadziła do takiego właśnie rozdarcia czy naddarcia dotychczasowych dobrych stosunków. Po kilku bezowocnych konferencjach, w których G. Narutowicz próbował uzgodnić nasze zdania, zaprzestał przychodzić do mnie na konferencje. Myślałem, że zachorował, lecz gdy dowiedziałem się, że jest stale przy pracy, machnąłem ręką, jak już na wiele zawodów w mojem życiu. Po paru tygodniach przyszedł. Był nieco wzruszony i odrazu zaczął jakby przeproszać. Twierdził, że nie mógł sobie dać rady i codzień odkładał wizyty u mnie, gdyż czuł się jakby winnym przedemną, że postąpił i pracował dalej w omawianej kilkakrotnie kwestji przeciw memu zdaniu. Gdy odpowiedziałem mu, że ma do tego najzupełniejsze prawo i nie powinien brać tego do serca, gdyż ponosząc za politykę zagraniczną odpowiedzialność, musi sam, jako ostatni, rozstrzygać co może, a czego nie może zrobić, — począł gorąco protestować. Wyszukiwał wszelkiego rodzaju argu-

menty i wszelkiego rodzaju dowody, aby osłonić mnie od najmniejszego uczucia upokorzenia, które jest tak częste i tak często brutalnie wykonywane w stosunku do tych, którzy zajmują stanowiska jakoby najwyższe, lecz w gruncie rzeczy najniższe o ile chodzi o pracę. Ten rys specjalnej delikatności charakteru człowieka o wysokiej kulturze, pozostał mi na zawsze we wspomnieniu wdzięcznego serca.

Cały okres pracy G. Narutowicza w Ministerstwie Spraw Zagranicznych należał do tej fazy naszego życia państwowego, gdy Polska po zwycięskiej wojnie na wschodzie musiała zdobywać uznanie swoich granic przez świat zagraniczny. Byliśmy jeszcze w owe czasy, że tak powiem, w defenzywie w stosunku do wielkiego mnóstwa wątpliwości, podejrzeń i byliśmy obiektem wielu tendencji, chcących umniejszyć nasze prawa w stosunku do takiego lub innego obszaru, takiego lub innego terytorjum, takiej lub innej części naszego państwa. Dlatego potrzebowaliśmy wów-

czas zawsze wielkiego wysiłku zbiorowej woli, nieraz spokojnych nerwów i wytrzymałości i wreszcie, co główne, podtrzymywania szacunku dla naszych urzędów, instytucyj, a przedewszystkiem dla rządu, który Polskę nazewnątrz reprezentował.

Niestety wewnętrzne nasze życie, przeżycone jeszcze miazmatami niewoli, z łatwością szerzenia kłamstw i oszczerstw w stosunku do wszystkich, reprezentujących państwo na zewnątrz, niezwykle ułatwiało robotę każdemu, kto chciał Polsce szkodzić. Pomimo to G. Narutowicz pracując spokojnie i z olbrzymim nakładem wysiłków, przeprowadził obronę naszych interesów skutecznie i bez zarzutu. A właśnie na czas jego urzędowania przypadło zaognienie w jednej z najdrażliwszych kwestyj, w kwestji t. zw. „Wschodniej Galicji“. W tym bowiem czasie mieliśmy do przeprowadzenia tam wybory i pobór wojskowy, co wywołało zamieszki w tej części kraju.

Pracując jako minister Spraw Zagranicznych ponad siły, G. Narutowicz począł po pewnym czasie zapadać na zdrowiu. Serce miał chore, sklerozę dość daleko posuniętą i brak powietrza oraz ruchu, do którego był się przyzwyczaił, zachwiały jego organizmem. Wzdychał za każdym razem do polowania, specjalnie gdy przyszła jesień, najrozkoszniejsza pora dla nemrodów. Coraz częściej po skończeniu referatu wyrażał nadzieję, że za kilka dni uda mu się wyciągnąć w pole, jak mówił, dla odpoczynku.

Niechybnie też ciążyły na nim warunki jego pracy. Zaczynał czuć się źle moralnie, zaczynała znikać jego poprzednia wesołość i beztroska. Nie czuł się tak swobodnie, jak dawniej, między ludźmi. Z szczęśliwego emigranta, przybyłego służyć Polsce, zmieniał się powoli w niespokojnego, „skwaszonego“, jak dawniej o innych mówił, Polaka.

Najciężej jednak odczuwał G. Narutowicz mus zajmowania się rozstrzygnię-

ciem pytania, kto ma być nowym reprezentantem naszym, jako Prezydent Rzeczypospolitej. Wiedział o moim zamiarze nie kandydowania na ten urząd bez względu na to, jak wypadną wybory. Nieraz słyszał kategoryczną moją decyzję, wyrażaną słowami, że gdyby jakimś trafem Zgromadzenie Narodowe składało się z najzaciętszych moich adoratorów, to i wtedy nie chciałbym sprawować dalej urzędu, który dotąd pełniłem. Nie zrażało go to i raz po raz wyszukiwał argumenty, aby mnie do zmiany decyzji skłonić. Powracał do tego tysiące razy, namawiając mnie to w ten, to w inny sposób. Im bardziej termin się zbliżał, tem był natarczywszy, żądając nieledwie odemnie decyzji według jego myśli. Prosiłem go nieraz, aby zaniechał dyskusji nad tym przedmiotem, gdyż zaczyna ona mnie drażnić i mogę stracić cierpliwość i zepsuć swoje dobre z nim dotychczasowe stosunki.

Głównym argumentem G. Narutowicza, którym w tych dyskusjach operował,

a który i następnie działał na niego więcej, niż co innego, był wzgląd na nasze stosunki ze światem zagranicznym. Z tego punktu widzenia nie chciał żadnych zmian, gdyż twierdził, że w ten właśnie sposób najskuteczniej oddziaływujemy na opinię świata o nas. Mają, twierdził, złe o nas przekonanie, wyrobione smutną tradycją z czasów upadku Polski, jak również bardzo długo i systematycznie prowadzoną robotą naszych zaborców we wszystkich centrach kultury światowej bez wyjątku. Jesteśmy, mówił, sąsiadami dwóch wielkich narodów, które w stosunku do nas były do niedawna jeszcze panami, a teraz przez wojnę zostały rzucone w odmet silnych tarć wewnętrznych i wzbudzają powszechny niepokój co do ewolucji, przez którą sądzono im przechodzić. Ten niepokój, twierdził, tyczy się również i Polski, i wszelka bardziej widoczna i jaskrawa zmiana wzbudza brak zaufania do nas i do dalszego naszego życia. A tymczasem mamy jeszcze wiele rzeczy do ure-

gulowania, wiele spraw do rozsądzenia i zależność nasza od świata wiązać musi nam ręce nawet w naszych sprawach wewnętrznych. Z tego punktu widzenia głównie wywierał swój nacisk na mnie, z tego powodu żądał odemnie, jak mówił, ofiary ze swej swobody.

Gdy wreszcie spostrzegł, że mojej decyzji nie złamie, zaniechał namowy, i tylko od czasu do czasu, jakby z wyrzutem i z obowiązku służby podsuwał mi różne relacje otrzymane zzewnątrz, a stwierdzające wyłuszczonej powyżej pogląd. Zaczął się zresztą trochę denerwować. Musiał odpowiadać na setki interpelacyj, na mnóstwo pytań i bał się, że wykraczać może przeciwko zasadom lojalności czy to w stosunku do mnie, czy to w stosunku do swoich kolegów ministerjalnych—może wreszcie przestał dawać sobie radę ze swoim sumieniem.

Zapytał mnie wreszcie wręcz, czy mogę jakąkolwiek kandydaturę wymienić, któraby miała moje poparcie. Odmówiłem stanowczo, twierdząc, że sytuacja będzie

jaśniejsza, gdy wybory się skończą, i gdy będziemy wiedzieli więcej o opinii tych, którzy wybierają.

Wtedy wystąpił sam z nową kandydaturą. Kandydatem jego był nasz poseł paryski, Maurycy Zamoyski. Twierdził, że przewiduje przy nowych wyborach zaostrożenie a nie zmniejszenie tarć wewnętrznych. Wydaje mu się, że najłagodniejszym przejściem do dalszego życia państwowego byłby właśnie Maurycy Zamoyski, który swoim łagodnym charakterem i miłym obejściem może wybrnie z trudnej sytuacji, jaką niewątpliwie mieć będzie mój następca w Belwederze. Prowadził o tej kandydaturze ze mną długie dyskusje, spokojnie biorąc i rozważając wszystkie pro i contra. Zawsze przy ostatecznym wywodzie stwierdzał, że u niego argumenty pro przeważają nad argumentami contra.

Wreszcie wybiła fatalna dla ś. p. Narutowicza godzina. Wybory się skończyły, Zgromadzenie Narodowe miało się zebrać

i wszędzie dało się odczuć roznamiętnienie w związku z wyborem Prezydenta Rzeczypospolitej. G. Narutowicz przypuścił po raz ostatni rozpaczliwy szturm do mnie, błagając wprost, abym zużytkował siłę charakteru i wytrwałość, gdyż po raz pierwszy w czasie wyborów obserwując rozbujające namiętności w stolicy dojrzał to, czego nie chciał spostrzec w czasach swego optymizmu. Zdziczenie obyczajów, nabyte w długiej niewoli, zepsucie moralne pod wpływem długiej wojny, nieprzebieganie w żadnych środkach, bezwzględność w stosunku do czci i honoru każdego człowieka, brak szacunku zarówno dla siebie, jak i dla pracy — święciły w tej dobie swoje triumfy i boleśnie przerażały G. Narutowicza, nieobytego dotąd ze specyficznymi właściwościami naszego życia politycznego.

Wiedział, że dotąd obojętnie traktowałem wiele rzeczy, nad którymi ludzie rzadko przechodzą do porządku dziennego. Nie przyzwyczajony z dotychczasowego

życia w innym świecie do takiego traktowania ludzi i rzeczy, chciał widzieć w mojem postąpieniu nadzwyczajną siłę i moc panowania nad sobą, a nie, jak ja twierdziłem, zatwardziałą obojętność na brzydotę moralną naszego świata wewnętrznego.

Po mojej mowie pożegnalnej, gdzieś wyjaśnił motywy swojej niechęci do kandydowania, spostrzegłem go, jak odwrócony plecami do wszystkich, przy oknie, ocierał łzy z oczu. Żegnał się ze światem, w którym dotąd produkcyjnie pracował, żegnał się z pracą, z której był zadowolony i czuł trwogę przed nieznaną przyszłością.

Przy najbliższej swej bytności w Belwederze oświadczył mi z przerażeniem, że wie o zamiarze postawienia jego kandydatury na Prezydenta w Zgromadzeniu Narodowym. Zanim jakąkolwiek da odpowiedź, chciałby wiedzieć o moim zdaniu co do kandydatur na urząd Prezydenta. Powiedział mi, że pomimo dość wielkich starań nie mógł znaleźć poparcia dla kan-

dydatury Maurycego Zamoyskiego i dlatego wątpi, by mógł on być wybranym.

Powiedziałem mu otwarcie, że jeżeli mój wpływ coś w Zgromadzeniu Narodowym będzie znaczył, to rzucam go na szalę na rzecz obecnego Prezydenta, p. Stanisława Wojciechowskiego. Natomiast stanowczo mu odradzam, aby się zgodził kandydować i jako motyw podałem, że zadanie jakie czeka Prezydenta, będzie polegało przedewszystkiem na pracy nad wewnętrznemi stosunkami w Polsce. Do tego on, G. Narutowicz, jest najzupełniej nieprzygotowany ze względu na słabą znajomość stosunków polskich, zbyt małe zżycie się z niemi, oraz ze względu na zbyt łatwe ocenianie stosunków polskich na modłę europejską i stąd prawdopodobieństwo błędów szkodliwych dla kraju a niewątpliwie bardzo bolesnych dla niego. G. Narutowicz po wysłuchaniu moich argumentów powiedział mi, że chociaż wysunięta przezemnie kandydatura nie wydaje mu się możliwą z powodu sporów między stron-

nictwami ludowymi, to jednak będzie pracował nad tem, aby została przyjęta, i że swoją kandydaturę wycofa.

Jeszcze w ostatniej chwili przed wyborem przyjechał do mnie przerażony, stwierdzając, że wewnątrz tych stronnictw, które mogły rozstrzygnąć o wyborze, większość wypowiedziała się przeciw kandydaturze p. Wojciechowskiego, a za utrzymaniem jego kandydatury. Był bardzo wzburzony i mówił, że wbrew jego woli chcą włożyć na niego ciężar, któremu wątpi, by mógł podolać. Radził się mnie, co porząć. Odpowiedziałem mu to samo, com mówił poprzednio. Radziłem odmówić stanowczo. Po paru godzinach doniesiono mi telefonicznie, że G. Narutowicz wybrany został przez Zgromadzenie Narodowe na Prezydenta Rzeczypospolitej.

Znacznie wcześniej przed wyborem G. Narutowicza doszły do mnie groźby różnego rodzaju. Wiadomości o przygotowywaniu zamachów stanu, czy to o terrorystycznych zamierzeniach w stosunku

do mnie. Zarządziłem środki zapobiegawcze przeciwko pierwszym, nad drugimi, jak zwykle, przeszedłem do porządku dziennego. Dochodziły też mnie wieści o przygotowywanych manifestacjach, czy wystąpieniach ulicznych, lecz przyznaję, że nie brałem tego zbyt na serjo. Do tonu pism t. zw. narodowych pełnych jadu i oszczerstw, dawno byłem przyzwyczajony, jak również do krzyków i hałasów, o które tak łatwo w Warszawie. Nie sędzę dotąd, aby proste zarządzenia o charakterze wojskowym, chociażby dla oddania honorów nowo obranemu Prezydentowi nie zapobiegły odrazu obrzydliwym pod względem moralno-politycznym, a nieudolnym pod względem wykonania burdom ulicznym, wywołanym przez niektórych posłów na ulicach Warszawy. Wątpię, aby G. Narutowicz przed swoim wyborem cokolwiek o zamiarze urządzenia burd wiedział, wątpię, aby brał je kiedykolwiek pod swe rozważania. Poznawszy go w ostatnich miesiącach jego życia dokładnie, jestem przekonany, iż w myślach

jego przeważała europejska, że się tak wyrażę, ocena zjawisk politycznych i społecznych. Ręczę, że przed wyborem i w dzień samego wyboru w głowie nie powstała mu myśl, aby prawnie wybranego przedstawiciela państwa i narodu można było lżyć na ulicach lub zabijać. Specjalnie zaś, żeby to miało wychodzić z łona stronnictw t. zw. prawicowych, które na całym świecie zwykle miały charakter obrony również t. zw. ładu i porządku. Zmieniło się co prawda dużo pod tym względem w sąsiednich Niemczech, lecz było to wynikiem przegranej wojny i wszystkich moralnych skutków klęski. — Łudził się G. Narutowicz pod tym względem, jak i przedtem, gdy oponował mojej rzekomej bezwzględności.

Po otrzymaniu od p. Marszałka Sejmu oficjalnego zawiadomienia o dokonanych wyborze, musiał nastąpić okres tych uciążliwych i przykrych układów o sposobie i terminach objęcia władzy przez nowego Prezydenta, zmian miejsc pobytu i wogóle

całego życia osobistego. Jeżeli ja osobiście do tej rzeczy byłem najzupełniej przygotowany, to G. Narutowicz nie mógł w jednej chwili dać sobie z tym rady. Ociągał się z każdą rzeczą, odkładał każdy termin i proponował ciągle przedłużenie okresu przejściowego. Byłem w tej sprawie agresywny. Żądałem możliwie szybkiego załatwienia sprawy, gdyż pomijając niezręczną i fałszywą sytuację, w której się znajdowałem, chciałem w jak najkrótszym terminie wprowadzić w państwie prawny porządek rzeczy. G. Narutowicz sprzeciwiał się każdemu memu żądaniu. Uważał, że musi uporządkować Ministerstwo Spraw Zagranicznych tak, by je spokojnie mógł oddać swemu następcy, miał w kasie pieniądze, niezałatwione rachunki, a był pod tym względem bardzo skrupulatny. Wreszcie uczynił mi propozycję, by stan przejściowy trwał nie mniej, jak miesiąc. Nie zgodziłem się kategorycznie na tę propozycję i gdy teraz myślę, że może mu w ten sposób o miesiąc skróciłem życie, nie mogę się

pozbyć wyrzutu i żalu, żem mu nie ustąpił.

Przejawiał w tych dniach nadmierną delikatność w stosunku do mnie. Szukał wciąż formuły i sposobu, któreby mi dały jakąś satysfakcję i ustaliły po wyjściu z Belwederu moją sytuację w świecie. Odpowiadałem zawsze, że wyjeżdżam zaraz do Wilna na odpoczynek, ażeby raz po tylu przejściach, które przeszedłem, mieć choć przez jakiś czas zebraną rodzinę koło siebie. Zresztą, co mówiłem mu otwarcie, nie chciałem, by się specjalnie moją osobą zajmował, bo stworzyłby tem dla siebie nowe przeszkody, które i tak piętrzyły się bardzo groźnie.

W tem ociąganiu się od ustalenia terminu objęcia władzy, nie bez wpływu był stan zdrowia, który znacznie się pogorszył. G. Narutowicz jakby ociążał, chore serce nie dawało mu spokoju. Noce niaraz spędzał w fotelu.

Tymczasem przy moich osobistych kłopotach i próbach rozważania różnych

dylematów życiowych, nie obserwowałem tak żywo, jak dawniej, tego, co dzieje się dokoła. Dlatego też nie wydałem żadnych poleceń, związanych z wyjazdem nowo wybranego Prezydenta do Sejmu na przysięgę. Wieczorem zarządziłem eskortę, nakazując wzmocnioną ochronę powozu Prezydenta, gdyż doszły do mnie niejasne słuchy o zamierzonych demonstracjach przy jego przejeździe. Nie starałem się zbadać, co było napewno bardzo łatwe, ani rozmiaru, ani metody tej rzekomej demonstracji. Gdym się o zajściach na ulicach dowiedział i sprawdził ich szczegóły, przekonałem się odrazu, że zapobieżenie tym burdom było nadzwyczaj łatwe i zarządzenia mogły być wcale nieskomplikowane. Zajścia te, oburzające pod względem ich znaczenia politycznego, ociekające jak zwykle brudem i fałszem rzekomych patriotów, miały w dodatku nieznany dotąd w Polsce przysmaczek maskowania się macherów przed odpowiedzialnością przy pomocy jedenasto- i dwunastoletnich dzieci szkolnych.

Byłem natychmiast po zajęciach z wizytą u G. Narutowicza. Siedział w fotelu głęboko poruszony. Nie chciał mi opowiadać szczegółów. Wskazał mi rewolwer, leżący opodal i powiedział: „Uprzedzono mnie, chciałem wziąć tę broń ze sobą, a strzelam bardzo celnie. Zostawiłem rewolwer na stole. Nie chcę się bronić“. Była w tem gorycz głęboko zawiedzionego w swych uczuciach człowieka. Odrazu przypomniawszy tak częste rozmowy ze mną na temat mojej bezwzględności sądów. „Ma pan rację — mówił mi — to nie jest Europa. Ci ludzie lepiej się czuli pod tymi, kto karki im deptał i bił po pysku“.

Wyrzucił na stół kupę listów i kopert. — „Patrz pan!“ zawołał.

Spojrzałem na niektóre. Były to anonimy wszelkiego rodzaju, pełne brudu, inwektyw, płaskich dowcipów, gróźb. Nie mogłem się wstrzymać od głośnego śmiechu. G. Narutowicz spojrzał na mnie zdziwiony. — „A telefony? — zapytałem — dzwonki rozmyślnie poplątane, zapytania,

zadawane udanym żydowskim akcentem, czy zdarzają się już u Pana?“ — Zerwał się z fotelu: — „Dokuczają już tem oddawna — zawołał — skąd pan wie o tem?“

— „Ależ, panie — ja byłem w Polsce Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem, więc wszy wlażyły zewsząd. Zwyczajne rzeczy! To „narodowa robota“!

Istotnie było tak ze mną. Dodałem ostrzeżenie, że jeśli ma rodzinę lub wogóle przyjaciół lub osoby, które kocha, to będą miały te same wszy na ubraniu i że nie należy nic sobie z tego robić, bo to najlepszy środek.

G. Narutowicz nie mógł się z tem pogodzić. Rzucił się, aż go musiałem uspakajać.

— „Po co te brudy? — wołał. — Po co te brudy?“

Nie chciał potem wracać do tej sprawy i jak gdyby śpiesząc do końca, ustąpił mi odrazu przy ustalaniu terminów, które przedtem tak często odkładał. „Dla pana byłoby najlepiej wyjechać jak najprędzej —

mówił mi, jakby na usprawiedliwienie. — Wytrzymał pan cztery lata, nie sądziłem, że to tak ciężko. Ja nie wytrzymam dłużej, jak rok“.

Nastawałem na to, by zaraz przeniósł się do Belwederu, gdzie będzie miał znacznie wygodniej, a ja będę mógł być spokojniejszy, gdyż z całą stanowczością i bezwzględnością nie dopuszczę, aby miejsce zamieszkania najwyższego reprezentanta Polski, mogło się stać miejscem zajść ulicznych, przypominających dom publiczny. Odmówił. Ograniczyłem się więc do dania odpowiedniej straży dookoła jego domu.

Po objęciu odemnie władzy, G. Narutowicz wydał mi się nieco spokojniejszy. Spędziłem z nim w Belwederze dwa miłe wieczory, podczas których omawiał zemną całokształt spraw państwowych. Nie sądził, by w tej zaognionej sytuacji mógł utworzyć rząd parlamentarny. Roznamiętnienie wyborcze, jakiego był świadkiem, nie pozwalało mu przypuszczać, aby w tych warunkach Sejm był zdatny do owocnej

pracy. Sądził, że trzeba pewnego czasu, by namiętności się uspokoiły i by normalniejsze życie nastąpiło. Nie chciał, by wojsko, które w większej ilości sprowadziłem do Warszawy, pokazywało się na ulicach, miał bowiem nieprzewyciężony wstręt do tego, by używać gwałtu i przemocy. Z pewną trwogą pytał mnie naprzykład o to, czy mi łatwo było zatwierdzać wyroki śmierci. Nie chciał się jednak, pomimo gorzkiej nauki, którą otrzymał, wyzbyć łagodnego optymizmu i jakiejś naiwnej wiary w szybką moralną naprawę ludzi. Pytał mnie, czym w początkach swego urzędowania mniej surowo sądził o ludziach i czym już tak z Magdeburga przyjechał bezwzględny i nieufny. A gdym mu powiedział, że jadąc do Warszawy z więzienia pruskiego, byłem wewnątrznie przekonany, że wiele z naszych wad niewoli natychmiast odpadnie i że wraz z odrodzeniem Polski, odradzać się pocznie i dusza polska, ucieszył się jak dziecko. Uchwycił się tych słów i ścisnąc mi rękę powtarzał po kilka razy:

„I niech pan wierzy, niech pan wierzy, to być nie może, by ludzie byli tacy podli. Przecież jest niemożliwe, by bezinteresownej i wydatnej pracy ludzkiej nie szanowano“.

Ostatnim aktem, wzruszającym mnie delikatnością uczuć, aktem, którego mi trudno zapomnieć, była propozycja, bym z pomiędzy pokoi w Belwederze wybrał jeden mi najmiłszy. Chciał go zachować bez żadnej zmiany, tak, by on mu o mnie i o mojej pracy w Belwederze przypominał. A gdym mu wskazał mój pokój sypialny, w którym najcięższe chwile i najcięższe noce przebyłem, zaproponował mi odrazu, bym zostawił tam wszystkie swoje osobiste pamiątki i rzeczy, gdyż nie pozwoli stamtąd nic ruszyć dla zachowania o mnie pamięci.

Gdym go pytał o zdrowie, mówił mi, że czuje się lepiej, że jednak wolałby czas pewien odpocząć i mieć możność spokojniejszego zastanowienia się nad sobą i nad swoją najbliższą pracą. Niepokoił się gło-

wnie myślą, że wojsko odczuć musi brak reprezentanta wojskowego w jego osobie. Mówił mi, że nawet w Szwajcarii odczuwają potrzebę munduru i zewnętrznych odznak, aby mieć poczucie, że wojsko ma istotnie przełożonych i dowódców. Wracał także do planów myśliwskich, żałując, że w swej nowej sytuacji będzie w nich znacznie bardziej skrzępowany. Kłopotem też dla niego było znalezienie swego następcy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Bał się, jak mi mówił, tego, czy się dobrze ułożą jego stosunki osobiste z ministrem tego resortu, do którego z trudnością nie będzie się mieszał w detalech, a nie przypuszczał, by mógł dla tego rządu znaleźć człowieka równie dobrze zżytego z nim, jak ja z gen. Sosnkowskim.

We wszystkich rozmowach, które podczas tych dwóch wieczorów z nim prowadziłem, nie odczułem ani chwili, by przewidywał jakieś groźniejsze dla siebie następstwa. Co do mnie, gdy spo-

strzegł koło swego mieszkania te same co zawsze, podejrzane i ciemne figury o typie bolszewicko-narodowym, także się nieco uspokoiłem, przypuszczając, że dalej jestem wyłącznym celem kreciej roboty terrorystycznej.

Ostatniego wieczoru przed śmiercią G. Narutowicza nie byłem u niego. Zdecydowałem nie stwarzać wrażenia, że istnieje jakieś condominium władzy i że G. Narutowicz bez mojej rady nic nie decyduje i nie postanawia. Nazajutrz, gdym był w Sztabie, w Biurze Historycznem, otrzymałem wiadomość o zamordowaniu Prezydenta Narutowicza w gmachu Zachęty sztuk pięknych.

*

Zgasł! Gdym poszedł do Belwederu pożegnać się z przyjacielem przygotowanym już do grobu i usiadłem w sąsiednim pokoju, myślałem o przebiegu życia ś. p. Narutowicza.

Gdzieś, w dworze zmudzkim, panowała popowstaniowa żałoba; cichą skargę

matki zamiast wesołej piosenki miałeś nad kołyską, gdy ojciec chmurny trwożliwie nadśluchiwał dźwięku dzwonka w oddali, zwiastującego przybycie jakiejś władzy zaborczej. A potem ciche, rzewne, lecz uporczywe nauki rodziców — żyj, cierp, kochaj i pracuj. Uczono cię pokory, pokory nieszczęścia. Szeptano ci na ucho wspomnienia walk ubiegłych, pokazywano zatajone gdzieś zakazane obrazki. A potem?

A potem! Powędrowałeś w świat daleki. Nie zaznałeś z nami ani walk, ani nędzy niewoli. W walce nie pozbyłeś się sentymentalizmu swego dzieciństwa, w brudzie niewoli nie zbrukałeś duszy, w pokorze nieszczęścia nie pełzałeś jak gad, już nie łudząc despotów. Zakonserwowałeś gdzieś w szalasach szwajcarskich swe dziecinne i młode marzenia, swe dziecinne i młode zaufanie do ludzi, do ich dobrej woli. Przyniosłeś z sobą nakazy matczyne: żyj, kochaj, pracuj. Zamiast nakazu „cierp“, przyniosłeś szczęście życia i pracy w wolnej od kajdan Ojczyźnie.

Zginałeś od kuli nie wrażej, o której może w dzieciństwie marzyłeś — od kuli rodaków, do których niosłeś swą ewangelję miłości i pracy. Czy zginałeś w ten sposób za to tylko, że takim byłeś, czy za to, że z brudem niewoli walczyć nie chciałeś, czy nie mogłeś?



23648 +

Biblioteka Śląska

108

III

